

KAMILA DRECKA

HALINA

KUNICKA

ŚWIAT
NIE JEST
TAKI
ZŁY



KAMILA DRECKA
HALINA
KUNICKA

ŚWIAT
NIE JEST
TAKI
ZŁY

Copyright © by Halina Kunicka i Kamila Drecka-Anderman

Opieka redakcyjna: Magdalena Oczachowska, Małgorzata Olszewska

Opracowanie redakcyjne: Lucyna Olszewska / Akcja: Redakcja

Opracowanie tekstu i przygotowanie książki do druku: Pracownia 12A

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotoedycja: Michał Dembiński

ISBN 978-83-7515-299-9


OTWARTE
www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Kamila Drecka: W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku była pani niekwestionowaną gwiazdą.

Halina Kunicka: Źle zaczęłyśmy tę rozmowę. Gwiazda to słowo, którego nie lubię. Nie uważam, by mnie dotyczyło. Tak się ułożyło w moim życiu, że zaczęłam śpiewać. Nigdy jednak nie myślałam o sobie: zrobiłam karierę.

Była pani jedną z najbardziej popularnych piosenkarzek. Cała Polska śpiewała pani piosenki.

To jest radość wielka! Ale sława czy kariera – nie znam tych słów. Mam wielkie szczęście, że robię to, co kocham. A jeszcze większe szczęście polega na tym, że to, co robię, polubiła także publiczność. Ogromnie się z tego cieszę, to nadaje sens mojemu życiu. Mam poczucie, że było warto.

WOJNA

Pochodzi pani ze Lwowa.

Rozumiem, że chce mnie pani zabrać w odległe czasy. A ja lubię iść do przodu i nieczęsto oglądam się za siebie. Ale właściwie dobrze.

Przed laty w moim dowodzie osobistym było napisane: miejsce urodzenia ZSRR. Urodziłam się we Lwowie, ale mieszkałam z rodzicami w miejscowości Hoszcza pod Lwowem, na terenie jednego z największych garnizonów. Ojciec był oficerem Korpusu Ochrony Pogranicza, dowódcą plutonu w pierwszej kompanii batalionu „Hoszcza”.

Kiedy miałam się urodzić, mama pojechała do swojej siostry, do Lwowa. To był luty, zimno, mróz. Wujek, mąż mojej ciotki, posadził mamę na sankach, takich dziecięcych, i ciągnął je po śniegu do szpitala. Potem mama opowiadała, że po urodzeniu byłam tak strasznie brzydkim dzieckiem, że przychodziły panie z innych sal, żeby sobie na mnie popatrzeć. A jakby tego było mało, na

drugi dzień zachorowałam na koklusz, który wtedy był nieuleczalny. Gdy było już ze mną bardzo źle, mama poprosiła księdza, by mnie ochrzcił i udzielił mi ostatniego namaszczenia. „Z tego dziecka już nic nie będzie”, powiedział i odszedł. A ja sobie myślę: może miał rację? Może powinnam była zejść dalej, niż zaszłam?

I co było potem?

Mama zabrała mnie do domu i tam jakimiś niekonwencjonalnymi metodami, stosowanymi przez tak zwane babki, z tego koklusza mnie wyciągnięto. To, że istnieję, jest najlepszym dowodem na skuteczność medycyny ludowej.

Tymczasem ojciec poszedł na wojnę, nie wrócił z niej. Mama przez długi czas szukała go przez różne instytucje, między innymi przez Polski Czerwony Krzyż. Nie znalazła. Ustalono, że zginął na Wschodzie. Dopiero po latach dowiedziałam się, że walczył z Niemcami pod Kretynią, gdzie został ciężko ranny. Nie udało się ustalić jego dalszych losów. Z pewnych źródeł wynika, że może został wywieziony do Ostaszkowa. Nie wiem, gdzie jest pochowany. Dlatego nie mogę w Dzień Zaduszny czy w dniu imienin ojca zapalić świeczki na jego grobie.

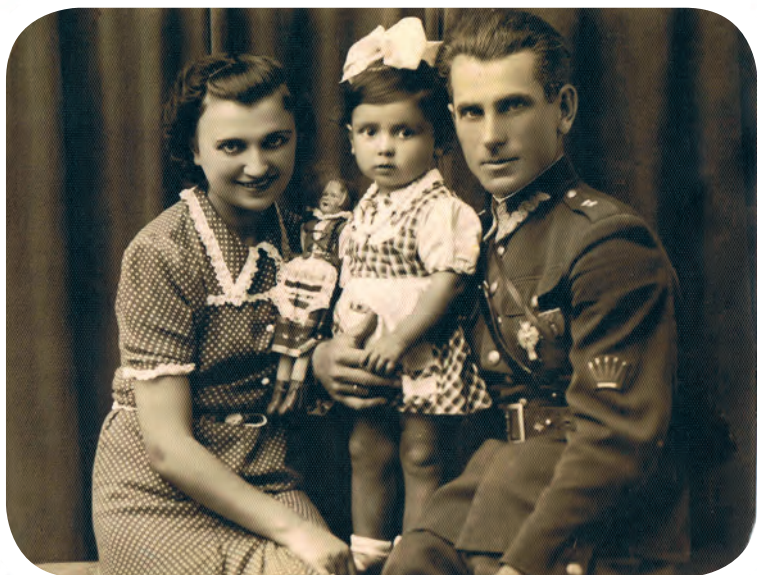
Ale jest takie miejsce w Warszawie, na Powązkach, upamiętniające tych, którzy ponieśli śmierć za wschodnią granicą. Na ścianie kościoła Świętego Karola Boromeusza



Z mamą, Lwów, 1938

pod krzyżem z napisem „Poległym na Wschodzie” znajdują się tabliczki z ich nazwiskami. Postanowiłam, że także mój ojciec będzie mieć tu swój symboliczny „grób”. Na marmurowej tabliczce widnieje jego nazwisko: Wacław Kunicki, oficer KOP-u. W Zaduszki to miejsce rozświetlają płomienie niezliczonych lampek. Przychodzę tu czasem z wnukami Stasiem i Franiem. Chcę, żeby wiedzieli o tym trudnym fragmencie naszej historii.

Tatę znam tylko ze zdjęć. Jego brat Franciszek również walczył w czasie drugiej wojny. Miał więcej szczęścia – przeżył. Syn Franciszka Romuald Kunicki to mój jedyny najbliższy krewny. Został księdzem, przez wiele



Z rodzicami, Lwów, 1939

lat był proboszczem w parafii pod wezwaniem Świętego Mikołaja w Walczu.

Ojciec poszedł na wojnę, a pani z mamą została w Hoszczy?

17 września 1939 roku miałam niespełna dwa lata. Mama postanowiła dostać się do Lwowa. Kilka dni później nasz garnizon został rozgrabiony i spalony. Tę historię znam tylko z jej opowiadań, niechętnie wracała do tamtych przeżyć.

Uciekałyśmy przez gęste lasy, aż dotarłyśmy do Lwowa, do siostry mamy. Niestety ktoś doniósł do NKWD, że

mama jest żoną oficera. Któregoś wieczora przyszli. Zapytali: „Ty jesteś Zofia Kunicka?”. Kiedy skinęła głową, powiedzieli: „Zabieramy cię, jedziesz na białe niedźwiedzie”. To oczywiście zostało powiedziane po rosyjsku. Jeden z nich dostrzegł mnie: „Czyje to dziecko?”. Mama była przerażona. Wiedziała, że wywożą ją na Sybir, a stamtąd się nie wraca. Odparła: „To córeczka mojej siostry”.

Chciała panią chronić.

Dlatego wyrzekła się własnego dziecka. Zawsze gdy słuchałam opowieści o tamtym czasie, byłam wzruszona, czułam dla mamy wdzięczność. Kiedy już miałam własną rodzinę, syna, zdałam sobie sprawę, ile to musiało ją kosztować.

Enkawudziści dali mamie pięć minut na zabranie rzeczy, po czym wrzucono ją do ciężarówki. Mama była wyjątkowo piękna. Opowiadała, że w drodze na dworzec stała koło radzieckiego żołnierza. Patrząc mu w oczy, płakała i błagała, żeby ją puścił. Gdy na zakręcie ciężarówka zwolniła, wypchnął ją z tego samochodu, krzyząc: „*Udiraj!*”. Uciekła i wróciła do siostry. A ta, ponieważ panicznie bała się, że znów ktoś doniesie, ukrywała mamę w komórce na węgiel. Spędziła tam dwa albo trzy tygodnie. Ciotka dostarczała jej jedzenie, bo przecież nikt nie mógł się dowiedzieć, że wróciła.

Ludzie mieszkający wówczas we Lwowie byli ze wszystkich stron osaczeni. Z jednej strony Niemcy, z drugiej – Rosjanie. Jak wiele innych osób, mama zdecydowała, że trzeba opuścić miasto. Znów musiałyśmy uciekać. Siostra mamy została. Mogłam mieć wtedy jakieś cztery lata.

Udało nam się dotrzeć do Warszawy do przyjaciółki mamy. Okazało się, że jest chora na gruźlicę. W tamtych czasach ta choroba była nieuleczalna. Mimo to mama zamieszkała u niej. A mnie, ze strachu, że mogę się zarazić, w akcie desperacji oddała do przytułku dla dzieci oficerów, którzy albo walczyli, albo zginęli. Poza tym mama była sama, a ponieważ musiała pracować, żeby mieć ważne dokumenty, nie miała co ze mną zrobić. Pracowała w słynnej fabryce Habermusch i Schiele, myła butelki do piwa.

Nie byłam tam długo, może trzy tygodnie. W odwiedziny przyjechała do mnie ciocia – bratowa mojej mamy, wujek w tym czasie przebywał w oflagu. Zobaczyła przerażone, zrozpaczone dziecko. Do tego stopnia była poruszona moim widokiem, że postanowiła zabrać mnie do siebie do domu. Wiedziała, że będzie musiała zostawiać mnie samą na całe dnie, pracowała od świtu do nocy. Mimo to zdecydowała, że mnie tam nie zostawi.

Przywiozła mnie tramwajem numer dziewiętnaście na Służew, a kiedy wysiadłyśmy, pierwsze, co zrobiłam, to pocałowałam ziemię. Byłam szczęśliwa, że jestem „w domu”.

Pamięta pani coś jeszcze z tego przytułku?

Bardzo mało. Wymazałam z pamięci ten czas. Pamiętam tylko, że ciągle płakałam, czułam się porzucona, choć wiedziałam, z jakiego powodu tam jestem. Mam w pamięci jedynie ten moment: ciocia przyjechała i natychmiast mnie zabrała.

W domu cioci, zamknięta na klucz, byłam sama do wieczora, do powrotu cioci z pracy. Bała się, że w czasie zawie-ruchy wojennej może stać mi się krzywda. Dlatego nie wolno mi było chodzić po domu, musiałam siedzieć cichutko w jednym pokoju. Miałam przykazane, by się z niego nie ruszać. Ciocia zostawiała mi tam jedzenie. Przy moim łóżku stał telefon, żeby w razie czego do niej zadzwonić.

Musiała być pani przeraźliwie samotna.

Byłam taką kupką nieszczęścia.

Straszne to pani dzieciństwo.

No tak. Ale nie chciałabym, żeby odbierano moją opowieść jak w dowcipie o słoniu i myszce. Słoń, ujrzawszy myszkę, pyta, dlaczego jest taka mała, mizerna. Ona na to: „Bo miałam trudne dzieciństwo”. Wszyscy mieliśmy. Takie to były czasy.

Co jeszcze pani pamięta z czasu, kiedy mieszkała u cioci?

Jakieś fragmenty. I ciociny ogródek, którym się zachwycałam. Rosły w nim nasturcje. To kwiatki mojego dzieciństwa, dzisiaj już niemodne, rzadko się je widuje.

Przypomina pani sobie momenty zagrożenia?

Bałam się nalotów. Widziałam eskadry myśliwców, które nadciągały nad Warszawę.

Słysząc było syreny. Ich dźwięk wywoływał paniczny strach. Ale w gruncie rzeczy dzieciństwo to taki czas, w którym nie zdajemy sobie sprawy z tego, co się dzieje. Starano się, by docierało do mnie jak najmniej niepokojących informacji.

Jednak pamiętam dramatyczną chwilę. Kiedyś przyszedł do nas niemiecki żołnierz, zamierzał wysadzić willę w powietrze. Ciocia, która znała niemiecki, przekupiła go alkoholem. Udało się. Natomiast mama bardzo się przebrażała i postanowiła, że trzeba uciekać. Ciocia stanowczo odmówiła: to jest jej dom i nigdzie nie idzie. Mama to rozumiała, ale wiedziała, że ma dziecko, które musi chronić. Przecież w każdej chwili mógł przyjść ten sam albo inny Niemiec, groziło nam niebezpieczeństwo. I tak jak stałyśmy, uciekłyśmy.

Dom cioci był jedynym budynkiem w okolicy, dookoła rozciągały się pola i łąki. Ponieważ nad nami latały

samoloty, które bombardowały Warszawę, schroniliśmy się w stogu siana. Wtedy byłam sześciolatnim dzieckiem, więc nie docierała do mnie cała groza sytuacji. Kiedy zrobiło się ciemno, poszliśmy do okolicznej wioski. To były takie czasy, że bez wahania pukało się do obcych ludzi. Zobaczyli młodą kobietę z małą dziewczynką i przyjęli nas. Byliśmy tam kilka dni. Karmili nas, poili.

Potem mama postanowiła, że pojedziemy do Grójca. Miała adres ludzi, u których mogliśmy się zatrzymać. Wsiadliśmy do pociągu na Dworcu Warszawa Południe. Pamiętam, że kiedy dotarliśmy do Grójca, było późne popołudnie i padał deszcz. Okazało się, że na dworcu jest łapanka. Mama wzięła mnie za rękę i wyskoczyliśmy z wagonów na drugą stronę torów. Zdołałyśmy uciec. Gdy przyszliśmy pod wskazany adres, domownicy siedzieli przy kolacji. Zjawiłyśmy się tam zmoknięte, przerażone, głodne, bez żadnego bagażu. Przyjęto nas z otwartymi ramionami i otwartym sercem. Kiedy się rozniosło, że przybyły dwie uciekinierki z Warszawy, wielu znajomych naszych gospodarzy przynosiło mi ubrania, zabawki. Mieszkałyśmy tam do końca wojny.

A dom cioci, co się z nim stało?

Ocalał. To miejsce teraz nazywa się Służew nad Dolinką. Wzniesiono tam wielkie bloki, ale willa cioci przetrwała do dziś. Stoi jedna jedyna pośród wieżowców, przy ulicy



Z ojczymem przed domem, w którym Halina spędziła lata okupacji.
Willi dziś stoi w centrum osiedla Służew nad Dolinką

Batuty 9 B. Kiedyś ta ulica nosiła nazwę Zuchów, a dom miał numer 21. Nie wiem dlaczego 21, bo przecież obok nie było żadnych innych domów.

Gdy odwiedzam tę część Warszawy, ze wzruszeniem patrzę na dom cioci. Jestem szczęśliwa, że to miejsce ciągle jeszcze jest. Mimo że nie ma już niestety ani mamy, ani cioci.

Ale po wojnie zamieszkałyśmy tam z mamą na pewien czas. Pamiętam, że chodziłam polami po mleko do ceglano-ego domu przy Puławskiej, miałam taką litrową czerwoną kankę. Wydawało mi się, że to była daleka wyprawa.

Co niedziela szłyśmy z mamą dróżką na mszę. Mama zawsze była bardzo blisko Kościoła. Pięknie śpiewała na wszystkich ślubach w Grodnie, kiedy tam mieszkała we wczesnej młodości. Jak już byłam dużą dziewczyną, strasznie się wstydziłam, że podczas mszy mama tak głośno śpiewa. Jej sopran wybijał się ponad wszystkie głosy.

Kiedy się wyprowadziłyśmy z domu cioci, w pokoju na dole zamieszkali moi dziadkowie, rodzice mamy, repatriowani ze Wschodu. Babcia była sparaliżowana po wylewie, dziewiętnaście lat siedziała unieruchomiona w fotelu. Byłam jej ukochaną wnuczką.

Jak pamięta pani babcię?

Nigdy nie słyszałam od niej słowa skargi. Że nie może normalnie funkcjonować, że ma zmarnowane życie. Pamiętam też, że czytała niezliczone ilości książek. Ile razy już jako niemal dorosła dziewczyna przyjeżdżałam na Służew, zawsze widziałam babcię czytającą. Była nadzwyczajna.

A dziadek?

Ojciec mamy Julian Bek był inżynierem architektem. Budował kościoły w wielu polskich miastach, w Suwałkach, w Grodnie, w Wieluniu. Kiedy repatriowano go

do Polski, zabrał z sobą plany kościołów. Niestety się nie zachowały. Żałuję, bo mogłyby się znaleźć w naszych rodzinnych zbiorach. Niedługo po zamieszkaniu na Słuzewie umarł. Zapamiętałam dziadzia jako człowieka cichego, spokojnego. Był zmęczony, utrudzony życiem.

Jaka była dalsza historia domu?

Zmienił właścicieli. Kiedy po wielu latach – miałam może trzydzieści lat – przypadkiem się tu znalazłam, bardzo przeżyłam tę chwilę. Przypomniało mi się dzieciństwo, ale też wydarzenia wojenne, moja samotność. Teraz przychodzę tu od czasu do czasu, ale nie czuję już takiego wielkiego wzruszenia jak za pierwszym razem.

Gdy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że brama wjazdowa jest wielka, a dom ogromny. Na pewno ogród jest mniejszy, niż pamiętam. Kwitły w nim jabłonie, które później rodziły dorodne jabłka, kosztele. Rosły tu też grusze i wielki orzech. Zachował się również nieduży taras. Na nim siedziały wszystkie cioce i znajome mamy, które okłaskiwały moje występy z Zosią, córką naszych sąsiadów. Tui i cyprysów tu nie było. Ale poza tym wszystko jest jak wtedy.

Weszła pani kiedyś do środka?

Nie wpuścili mnie.



Na warszawskiej ulicy
z mamą, 1944



Julian i Zenobia Bekowie,
dziadkowie Haliny Kunickiej

Pani nie wpuścili?

Pracowali tam jacyś robotnicy. Poprosiłam, żeby zapytali właścicieli, czy mogę wejść, choćby do ogrodu. Jeden z nich poszedł zapytać, ale wrócił z wiadomością, że właścicielka jest chora i nie życzy sobie żadnych wizyt. No trudno.

Ten dom jest dla mnie tak ważny, bo w pierwszych latach powojennych, gdy jak wszyscy w Warszawie tułaliśmy się z mamą po ludziach, po cudzych mieszkaniach – czasami wracałyśmy na Służew do cioci. Nie wiem, dlaczego nie mieszkaliśmy tam na stałe.

Dużo czasu upłynęło, zanim mogłyśmy się zakotwiczyć. Pamiętam, że rok spędziłyśmy w miejscowości Radóść pod Warszawą. Tam też poszłam do szkoły, miałam wtedy siedem lat. Egzaminujące mnie nauczycielki posłały mnie od razu do trzeciej klasy. Uznały, że umiem więcej niż moje równolatki. W czasie wojny trzeba było mnie czymś zająć. Uczyłam się czytać, liczyć, pisać. Traktowałam to jak zabawę. Mając szesnaście lat, zdałam maturę. Wojna przyspieszyła moją edukację.

ŚWIAT NIE JEST TAKI ZŁY

to rozmowa pełna poruszającej szczerości,
z ogromnym ładunkiem emocjonalnym

Zaśpiewała setki niezapomnianych piosenek. Występowała na scenach, na których lśniły Edith Piaf i Marlena Dietrich. Przyjaźniła się z wielkimi twórcami polskiej piosenki. Została uwieczniona w wierszu Zbigniewa Herberta. Spotkała nadzwyczajną miłość.

HALINA KUNICKA

Niezwykłe elegancka i piękna dama polskiej piosenki. A zarazem zwyczajna kobieta, borykająca się z troskami i niełatwymi wyborami, grająca role czasem trudne do pogodzenia: artystki, żony, matki. *Świat nie jest taki zły* dla wielu będzie powrotem do frapujących lat młodości, którym towarzyszyły piosenki śpiewane przez Halinę Kunicką.

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-299-9



9 788375 152999

www.otwarle.eu

Cena detal. 39,90 zł

